

Zabiłam Anię, zburzyłam Zielone Wzgórze

Choć tłumaczką została dopiero po 50-tce, swoim przekładem kultowej „Ani z Zielonego Wzgórza” L. M. Montgomery narobiła w czytelnicznym świecie ogromnego zamieszania. Jak sama przyznaje, do postawionego jej przez wydawcę zadania podeszła bezkompromisowo i bez zbędnych sentymentów, pozostając jak najbliżej oryginału sprzed 120-tu lat. Z Anną Bańkowską, tłumaczką i redaktorką, rozmawiamy o emocjach towarzyszących nowemu przekładowi, fenomenie postaci rudowłosej marzycielki z Wyspy Księcia Edwarda i o tym, czego w klasycznych dziełach literatury poszukują dziś młodzi czytelnicy.

Pani Anno, czy widziała pani film „Bulion i inne namiętności” Trần Anh Hùng?

Nie, nie widziałam. Oglądam filmy chętnie, ale tylko w domu. Mam ograniczone możliwości poruszania, wieczorami staram się w ogóle nie wychodzić... Dlaczego pani pyta?

To pięknie opowiedziana historia miłości dwójki ludzi zajmujących się gotowaniem. Jest w tym filmie ciekawa scena, w której jeden z głównych bohaterów, Dodin, mówi do swojej partnerki, że prawdziwym gastronomem nie może być nikt przed 40-tką, bo do tego potrzeba przychodzącego z wiekiem „smaku, pamięci i obycia”. Czy z pracą tłumacza nie jest podobnie?

Ja tłumaczką zostałam po 50-tce...

No właśnie. Skąd u pani taka zmiana trajektorii, i to w momencie, w którym część pracujących osób zaczyna pewnie myśleć o emeryturze...?

Wcześniej intensywnie pracowałam z nad różnymi tekstami. Przeszłam cały cykl pracy w wydawnictwie, począwszy od korektorki, potem trafiłam do zespołu redaktorskiego. Tłumaczyłam sobie jakieś wiersze „do szuflady”, aż w końcu ktoś je odkrył i zostałam praktycznie „zmuszona” do zajęcia się tłumaczeniami.

Jak to? Kto panią do tego „zmusił”?

Moja serdeczna koleżanka, Danusia Wawiłow. Moja córka pokazała jej kiedyś te wiersze i...

Znała pani Danutę Wawiłow? Wychowałam się na jej wierszach!

Tak, sama napisałam dla niej nawet jeden wiersz. Byłyśmy razem na roku na polonistyce, ale wtedy jeszcze nie znałyśmy się zbyt dobrze, zresztą ona bardzo szybko wyjechała na studia do Moskwy i nie miałyśmy ze sobą żadnego kontaktu. Naprawdę poznałyśmy się wiele lat później, ona była już wtedy była idolką nastolatek, w tym mojej córki – ona poznała Dankę na warsztatach w Łańcucie. Moja córka jest z wykształcenia wiolonczelistką, dawała nawet jakieś lekcje Kostkowi (Konstanty Usenko, syn D. Wawiłow – przyp. red.). To Dance zawdzięcza to, że jestem tłumaczką, ona przeczytała te wiersze „z szuflady” i naprawdę zmusiła mnie do podpisania umowy z wydawnictwem. Pierwsza książka to był kryminał, dla tłumacza – ogromne wyzwanie. Bohaterem był Francuz, który miał fioła na punkcie angielskich idiomów. Używał ich, ale z błędami, ja musiałam je wyłapać i przetłumaczyć.

No właśnie, czy do tej pracy potrzebne jest coś więcej oprócz doskonałej znajomości języka? A może ta językowa biegłość wystarczy?

Zależy, co się tłumaczy. Jeśli się tłumaczy instrukcję obsługi odkurzacza, to pewnie nie trzeba niczego więcej niż znajomość języka. Jeśli się tłumaczy literaturę, to przede wszystkim trzeba doskonale znać język docelowy. Biegła znajomość języka oryginału na pewno wpływa na tempo pracy, ale dziś są już tak zaawansowane narzędzia i słowniki, że można poradzić sobie z tłumaczeniem, nawet nie znając języka oryginału. Ja na przykład nie znam niemieckiego, ale zdarzyło mi się przetłumaczyć „Króla Olch” Goethego, bazując na angielskim tłumaczeniu. Bardzo dużo słuchałam oryginalnego tekstu w pieśni Schuberta, którego uwielbiam, i te polskie słowa jakoś mi się same podkładały...

Czyli – przede wszystkim znajomość języka polskiego. To nieco odwraca optykę, zwłaszcza dla odbiorcy, który pewnie rzadko zastanawia się nad tajnikami pracy tłumacza...

Tak, to jest, moim zdaniem, najważniejsze.

A co z resztą tej „otoczki”, która zawsze lepiej pozwala nam zrozumieć dzieło? Jest jeszcze biografia autora, realia społeczne, historyczne i polityczne powstawania dzieła – czy to też bierze pani pod uwagę?

Przekonałam się na własnej skórze, jakie to jest ważne. Przetłumaczyłam 6 książek Daphne du Maurier. To zawsze była moja ulubiona autorka, jak dostałam pierwszy tom do tłumaczenia, czułam się poważnie zaszczycona. Niestety, przetłumaczyłam jej książkę i jej autobiografię, nie wiedząc o niej pewnej bardzo ważnej rzeczy.

Mianowicie?

Dopiero, kiedy zaczęłam kupować sobie książki przez internet i mogłam przeczytać biografię du Maurier pióra Margaret Forster, dowiedziałam się, że Daphne była biseksualna i długo ukrywała ten fakt przed światem. Największy romans życia przeżyła w wieku 46 lat. Jej ukochana, Gertrude Lawrence, była aktorką, miała grać w jednej ze sztuk napisanej przez Daphne. Była tam następująca dedykacja: „To Gertrude Lawrence, who would play Mary Ann on stage”. I ja w polskim wydaniu przetłumaczyłam to tak, że ona tę rolę zagrała.

Bo tak również można przetłumaczyć to zdanie.

Ale to była nieprawda, dziś wiem, że był to tryb przypuszczający – to dedykacja dla Gertrude, która ZAGRAŁABY, ale wcześniej umarła i nie zdążyła. Tylko ja o tym wcześniej nie wiedziałam, musiałam przeczytać kilka różnych biografii Daphne, żeby odkryć swój błąd. Z kolei kiedy tłumaczyłam książki Agathy Christie, trzeba było uważać, żeby nie zdradzić żadnego szczegółu np. poprzez użycie określonej formy czasownika. W jednej z książek narracja prowadzona jest tak, jakby pisał sam morderca, ale długo nie znamy jego/jej płci. Po angielsku łatwiej to poprowadzić, ale po polsku musiałam się niezłe nakombinować. Jakoś mi to wyszło, tu się przydaje język polski, który ma nieprzebrane zasoby, tylko trzeba umieć z nich korzystać.

Przetłumaczyła pani mnóstwo tytułów, ale w pani „repertuarze” sporo jest wybitnych dzieł tzw. literackiej klasyki: „Czarownice z Salem”, „Wiek niewinności”, „Małe kobietki”, ostatnio „Anne z Zielonych Szczytów”. Można powiedzieć, że darzy pani klasykę szczególnymi względami?

Ja jestem już w takim wieku, że sama mogę uznać się za zabytek, więc naturalnie bliżej mi do klasyki.

Pani Anno...

Tak już jest. Czasami naturalnie używam jakiegoś słowa, a potem czytam na forum, że to jest archaizm. Staram się być aktywna na portalach społecznościowych, tam jest dużo ciekawych rzeczy dla tłumacza literatury, zawsze można się czegoś dowiedzieć, nauczyć. No i same przekłady są bardzo

„pouczającym” doświadczeniem. Np. „Wiek niewinności” to było właśnie takie doświadczenie. W trakcie pracy nad przekładem odkryłam, że poprzedni został częściowo „sfalszowany”.

Jak to?

W tej książce są np. opisy krajobrazu przełożone zupełnie niezgodnie z oryginałem! A np. słowo „modest” (po polsku – skromny, niepozorny, przyp. red.) przetłumaczono tam jako „najmodniejszy”, i to w kilku miejscach! Tam jest więcej takich „kwiatków”.

Czego w XIX i XX - wiecznych klasykach mogą szukać dziś młodzi ludzie? Czy oni w ogóle sięgają jeszcze po tego typu literaturę z własnej woli?

Sięgają, ale na pewno inaczej ją odbierają. Podam pani ciekawy przykład, opowiadała o nim ostatnio Aneta Korycińska, czyli facebookowa „Baba od polskiego”. Młodzież w ciekawy sposób odbiera dziś np. Wokulskiego z „Lalki”.

?

Mówią o nim, że to był stalker! Przecież on tę biedną Izabelę prześladował i ona tak te jego zaloty odbierała! Ja od czasu do czasu muszę przeczytać sobie „Lalkę” na nowo, ostatnio obejrzałam jeszcze raz serial. No i święta racja! Prześladowca!

Czy to nie jest na swój sposób ... pocieszające? Że młodzież dostrzega i nazywa te toksyczne relacje?

Jak najbardziej, tylko trzeba tę młodzież dopuścić do głosu! A proszę mi wierzyć, że są nauczyciele, którzy zatkaliby sobie uszy, słysząc coś takiego. Tak samo jest z Anne Shirley – czytając tę książkę za każdym razem znajdowałam w niej coś nowego, ciekawego, choć w ogólnym obiegu ta postać jest odbierana dość jednoznacznie, z nabożną wręcz czcią...

No właśnie, Anne Shirley. Narobiła pani swoim tłumaczeniem sporo zamieszania.

Siedzę w tym zawodzie od ponad 60 lat, ale to co się wydarzyło po ukazaniu się „Anne z Zielonych Szczytów”... Przyznam szczerze, że nie zdawałam sobie sprawy z tego, jaką ikoną – w dosłownym znaczeniu tego słowa – jest ona dla niektórych czytelników.

Podobno „posądziła” ją pani o romans! A tego nie wytrzymali niektórzy fani...

Ja jej o nic nie posądzam, ale po prostu nieco inaczej interpretuję pewne opisane w książce sytuacje. Jest np. w „Anne z Avonlea” taka scena - ślub panny Lawendy, Anne poznaje przy tej okazji Stephena, ojca jej ucznia. Według mnie, w tej scenie między tą parą coś zaiskrzyło, on zdecydowanie jest zauroczony Anne, która nie jest jeszcze wtedy parą Gilberta. W jednej z rozmów na temat przekładu poszybowałam sobie w wyobraźni, zastanawiałam się, co by było, gdyby między nimi coś się wydarzyło... Wiadomo, że Anne zrobiła piorunujące wrażenie na Stephenie i ja po prostu powiedziałam o tym głośno. Jejku, co się potem rozpętało na forach związanych z Montgomery! Jak ja mogłam, przecież panna Lawenda to była jej przyjaciółka, że Anna by nigdy...! A przecież ona nie miała wtedy męża ani nawet narzeczonego, była piękna, młoda, Stephen był przystojnym mężczyzną po 30-tce... Zresztą, proszę sobie przeczytać tę scenę w moim tłumaczeniu!

No i wsadziła pani kij w mrowisko. Do tego we wstępie do pierwszego tomu napisała pani, że „zburzyła Zielone Wzgórze” i „zabiła Anię”. Celowo dołała pani oliwy do ognia? Jak wynika z samej lektury, Anne ma się dobrze, jej losy toczą się tak samo od 120 lat...

Oczywiście wiedziałam, że tak będzie, ale podjęłam się tłumaczenia tylko pod warunkiem, że będę mogła wreszcie podejść do tematu bez niepotrzebnych sentymentów. Już 20 lat temu, po kolejnym,

tylko wybiórczo uwspółcześnionym przekładzie rozpętała się dyskusja. Jedne imiona były dalej spolszczone, inne zostawione w oryginale. Anne, Matthew i Marilla zostali jeszcze wtedy Anią, Mateuszem i Marylą, autor tłumaczenia przyznał, że nie miał odwagi odebrać polskim czytelnikom tego, do czego byli tak bardzo przyzwyczajeni. Uznał, że to „nie byłoby właściwe”. Kolejny przekład zaproponowano mnie – na marginesie dodam, że była to inicjatywa wydawcy, sama nigdy nie ośmieliłabym się zabiegać o takie zlecenie

Jeśli wydawca liczył na intensywne reakcje czytelników, zdecydowanie nie przeliczył się, proponując przekład właśnie pani.

Powiedziałam w Marginesach, że jeśli mam się tego podjąć, to muszą być gotowi, że nie będę powielała krążących już po rynku schematów. Chciałam zaproponować coś dla bardziej wymagających czytelników, którzy na książkowych forach upominali się o przekład bardziej zgodny z zamysłem autorki. Jak się dowiedziałam z profilu Bernadetty Milewskiej, mieszkającej w Stanach znawczynie twórczości Montgomery, samej Maud bardzo zależało, żeby zachować w powieści nazwę Green Gables – a po polsku naprawdę trudno przetłumaczyć to jako „zielone wzgórza”... Nie mogłam jej zachować w oryginale, bo wtedy konsekwentnie musiałabym postąpić tak ze wszystkimi fikcyjnymi nazwami różnych miejsc...

Jezioro Lśniących Wód musi być Jeziorem Lśniących Wód (śmiech)! Przyznam pani, że zaskoczyła mnie emocjonalna reakcja czytelników na „Anne z Zielonych Szczytów”. Przeczytałam pani przekład i po lekturze nie bardzo rozumiem, skąd się biorą te negatywne emocje. W dużym uproszczeniu - mamy Zielone Szczyty zamiast Zielonego Wzgórza – i cóż z tego?

Czy mogę pani coś przeczytać?

Zamieniam się w słuch.

Po ukazaniu się pierwszego tomu przygód Anne w moim tłumaczeniu dostałam na przykład taki anonim: „Są ludzie, których określa się mianem „użyteczni idioci”. To osoby, które myślą, że służą dobrej sprawie, a niestety wyrządzają ZłO (pisownia oryginalna – przyp. red.). Do takich osób zalicza się pani. Dołączyła pani do grupy ludzi (?) niszczących naszą kulturę, nasze życie rodzinne, a wiadomo, kto za tymi zboczeńcami stoi, kto ich finansuje. W pani zamiarze była chęć zerwania więzi rodzinnych babka – matka - córka, bo przecież nie Ania, lecz Anne, nie Zielone Wzgórze, lecz... Nie zamierzam czytać wersji w pani tłumaczeniu, ale obawiam się, że poza zmianą imion i nazw przemyciła pani inne przestania. Żegnaj, użyteczna idiotko”. No i koniec listu.

...

Ha, a ja jestem z tego dumna! Niestety, dostałam tylko jeden taki list, liczyłam na więcej, ale się nie pokazały. Ja się tym wszędzie chwale! I teraz proszę wyobrazić sobie, że ta osoba pisze do mnie takie rzeczy, podkreślając jednocześnie, że książki nie przeczytała i „nie zamierza”...

...ale jednocześnie czegoś się w tej treści „obawia”

Z drugiej strony, miałam też miłe zdarzenia. Na spotkanie w jednej z bibliotek przyszła starsza pani, która specjalnie dla mnie upiekła ciasto, przyniosła mi też słoiczek konfitur. Przyznała się, że nie przeczytała jeszcze książki, ale czytała wywiad ze mną w „Wysokich Obcasach” i tak się jej spodobałam, że postanowiła zrobić mi jakąś przyjemność.

Anonimów i obelg chyba się pani jednak nie spodziewała...

Nie, aż takich wyobrażeń nie miałam. Spodziewałam się raczej zarzutów, że szczyty to góry etc.

...a jest nawet gorzej. Podobno tym tytułem siej pani zgorszenie i „seksualizuje” postać kilkunastoletniej dziewczynki!

No tak, takie głosy też się pojawiały, ale traktuję to z przymrużeniem oka. Z tej okazji nawet „Asz dziennik” o mnie napisał! Ludzie zobaczyli w tytule szczyty i one im się jakoś dziwnie, jednoznacznie kojarzą... Nie mam wpływu na to, co komu po głowie chodzi (śmiech). Jedna z moich koleżanek, znana tłumaczka też się na początku oburzyła, bo nie wyobrażała sobie, że może nie być Maryli ani Mateusza, ale nie wytrzymała i jak się rozpętała cała ta dyskusja, przeczytała w końcu mój przekład. Napisała potem do mnie i publicznie przyznała, że zmieniła zdanie, odwołała wszystkie słowa, które wcześniej padły pod moim adresem. Teraz bardzo mnie pilnuje, żebym wysyłała jej każdy kolejny tom z dedykacją.

Trzeba było przeczytać książkę - tylko tyle i aż tyle.

Otóż to! Ta cała afera skończyła się bardzo szybko, ale zdecydowanie najciekawsze wyzwiska padały pod moim adresem na forach w Gazecie Wyborczej. Najpierw czytałam, że jestem „gówniarą, która chce się gwałtem dostać na szczyty”.

Ewidentnie nie pofatygowali się, żeby coś o pani w internecie przeczytać (śmiech).

Prawda? Potem jak już uzupełnili swoją wiedzę, zostałam nazwana „babcią, która sobie za wszelką cenę chce dorobić do skromnej emeryturki”. Tym osobom odpowiadałam, że mam bardzo przyzwoitą emeryturę i nie muszę dorabiać, ale mam na to ochotę i w dodatku są tacy, którzy sobie bardzo życzą tego, żebym nadal pracowała.

Niedawno nakładem wydawnictwa Marginesy ukazała się „Dolina Tęczy”, siódma część przygód Ani/Anne Shirley.

Tak, i z wielką satysfakcją obserwuję, że czytelnicy naprawdę nagabują Marginesy, żeby przyspieszyć premierę „Rilli ze Złotego Brzegu”, zaplanowaną na kolejny rok. W listopadzie przypada 150-ta rocznica urodzin L. M. Montgomery, byłoby pięknie, gdyby „Rilla” ukazała się do końca roku, ale to już zależy od planów wydawcy.

Między innymi z tej okazji odwiedzi pani jesienią Gdynię. 4 października w Muzeum Emigracji Noc Księgarń, w całości poświęcona akurat L. M. Montgomery, postaci Anne oraz pani przekładowi. Skąd u współczesnych czytelników i czytelniczek fascynacja tą postacią? Czy ona właściwie ma jakiś uniwersalny potencjał?

2 lata temu w Poznaniu była ciekawa konferencja naukowa, byłam na niej gościem i jedną z prelegentek, zastanawialiśmy się tam właśnie nad tą kwestią. Wtedy doszliśmy do wniosku, że właściwie nie wiemy, dlaczego tak jest. W Polsce książka ukazała się po raz pierwszy w 1911 roku, wtedy mało było książek dla dzieci i młodzieży, więc wszyscy dosłownie rzucili się na nią...

Z założenia nie była to przecież książka dla dzieci.

Nie była, ale w pierwszym przekładzie Bernsteinowej tak właśnie brzmiała. Sama Maud nie chciała, by tak postrzegano tę lekturę, miała za złe swojemu wydawcy, który bez jej zgody kazał umieścić ją na półce książek dla dzieci, zresztą przez wiele lat procesowała się z nim między innymi z tego powodu.

A czy młode dziewczyny mogą jeszcze dziś czegoś „nauczyć się” od Anne? Dużo się mówi o potencjale feministycznym tej bohaterki – czy naprawdę jest o czym mówić?

Tak, zdecydowanie tak! Samodzielności. Serdeczności – proszę przypomnieć sobie jej relację z Josie Pye, Anne zawsze stara się znaleźć w niej jakieś pozytywne. No i ten niezwykły upór – choć dotyczy to

tylko Anne z pierwszych trzech tomów, potem zaczyna się jej powolny „zjazd”. Ale na początku mamy dziecko, ambitną, dorastającą dziewczynę, która po śmierci Matthew decyduje się pozostać z Marillą, ale i tak siedzi na schodkach i czyta Wergiliusza, co jej oczywiście wszystkie sąsiadki mają za złe, bo przecież powinna wyjść za mąż zamiast zawracać sobie głowę książkami.

No i w końcu wychodzi.

Od czwartego tomu to już nie jest Anne, jaką znamy z początków. Ma swoje ograniczenia i poddaje się im. Może, gdyby ktoś ją zmotywował, zachęcił, gdyby trafiła wtedy na drugą pannę Stacy, ale taką dla dorosłych..? W szóstej części, „Anne ze Złotych Iskier”, właściwie nie ma już Anne. Zastanawiam się na przykład, co ona robi przez całe dni. Dzieci są już duże, bawią się ze sobą, najmłodszymi zajmuje się Susan.. Co Anne robi oprócz tego, że siedzi na stopniach ganku i wpatruje się w swój ogród przy księżycu?

Może wyszywa, albo robi swetry na drutach?

Do kuchni Susan jej już nie wpuszcza, całe gospodarstwo ma w zasadzie z głowy. Ja się zastanawiam, skąd ona ma na to wszystko pieniądze? Wyszła za ubogiego, prowincjonalnego lekarza, który musiał długo pracować, żeby dorobić się jako takiej pozycji na wsi, no i nagle kupują wielką posiadłość - z czego, ja się pytam? Nie dostali żadnego spadku, nie mają zdolności kredytowej, ale mają wielki dom, służbę i niemalże arystokratyczny poziom życia.

L.M. Montgomery pewnie nie spodziewała się, że pani będzie to analizować.

To samo powiedziała mi Bernadetta Milewski (śmiech). Maud widocznie nad tym nie myślała. Nie wiem, jak się to stało, że redaktor nie zwrócił jej na to uwagi...

Sama autorka nie miała lekkiego życia – może w książkach chciała nieco odpłynąć od jego przysłówiowej prozy..?

To prawda. Jej mąż chorował, długo procesowała się z wydawcą, miała do wykształcenia dwóch synów, można powiedzieć, że od pewnego momentu sama utrzymywała cały dom. Ale ekstremalnie ciężko raczej jej nie było - kupiła w końcu dom w Toronto, cenili ją Mark Twain, premier Kanady życzył sobie spotkania z nią. Maud to była wielka erudytką, robiła mnóstwo literackich aluzji w swoich książkach – i to jest zadanie tłumacza, żeby te wszystkie smaczki wytropić, bardzo to lubię w swojej pracy.

Przetłumaczyła pani tyle wspaniałych książek... Ma pani jeszcze jakieś zawodowe marzenie, którego nie udało się jeszcze spełnić?

Ale pani wie, ile ja mam lat...?

Wiem, ale pani jest przecież bardzo aktywna!

Nie wybiegam myślami za daleko, w moim wieku to niestosowne... Chciałabym przetłumaczyć jeszcze kilka wierszy Kiplinga, no i mój zamysł, z którym kołaczę do różnych wydawnictw – powinna powstać duża antologia poezji brytyjskiej.

Cudownie!

No ba! I to taka obszerna, możliwie najpełniejsza. Ja się nie mogę podjąć prowadzenia tego projektu, do tego jest potrzebny prawdziwy anglista, nie znam wystarczająco dobrze twórczości wielu wybitnych poetów, to są raczej moje amatorskie próby, ale chciałabym do tej antologii dołożyć swoją skromną cegiełkę w postaci kilku wierszy. Może Marginesy mogłyby wydać taką antologię..? Tak czy

siak, ja już tego raczej nie dożyję, tu jest potrzebny komitet ekspertów, trzeba zbadać stan prawny, dokonać selekcji, a potem najgorsze – trzeba zacząć płacić autorom! To jest praca na lata.

Życzę pani, żeby pani tego dożyła, tzn. żeby się te prace szybko zaczęły (śmiech). Na koniec jeszcze jedno – czy przeżyła pani ostatnio jakiś czytelniczy zachwyt?

Tak! To „Wendyjska winnica” Zofii Mąkosy, wspaniała trylogia z historią w tle. Moja koleżanka nazwała ją polskim „Przeminęło z wiatrem”. Ja bym nazwała ją raczej polsko – niemieckim „Przeminęło z wiatrem”. Dopracowana pod każdym względem, pięknie napisana książka.

A do czego pani wraca, kiedy pani jest źle?

Do „Mistrza i Małgorzaty”. No i zawsze mam przy łóżku stare, XIX-wieczne wydanie poezji Mickiewicza oraz tom wierszy Słowackiego. Dużo z nich umiem na pamięć, recytuję je sobie, kiedy nie mogę zasnąć.